

WSPANIALE URZĄDZONA PLANETA

I

Lu stał zanurzony po pas w soczystej zieleni i patrzył, jak ląduje helikopter. Wicher, bijący od śmigieł, rozkołysał spokojne dotąd morze roślinności, po którym rozeszły się srebrzyste i ciemnozielone fale. Lu wydawało się, że helikopter obniża się zbyt wolno, więc niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Było bardzo gorąco i duszno. Małe białe słońce weszło już wysoko, nawet trawa dyszała skwarem. Śmigła zafurczały głośnie; helikopter odwrócił się bokiem do Lu, potem obniżył się nagle na jakieś półtora metra i utonął niemal w trawie na szczycie pagórka. Lu pobiegł w górę po zboczu, płacząc się i potykając w trawie.

Silnik zamilkł, śmigła zwolniły obroty i po chwili zamarły w bezruchu. Z kabiny helikoptera wyszli ludzie. Najpierw wygramolił się ślamazarny nieco dryblas w kurtce z podwiniętymi rękawami. Jego spłowiałe włosy, nie krępowane hełmem, sterczały niesforne nad owalną brązową twarzą. Lu poznał go: był to kierownik grupy, Tropiciele Śladów, Anatol Popow.

— Dzień dobry, gospodarzu — przemówił wesoło, wyciągając rękę. — Niń–chao!

— Chao–niń, Tropiciele Śladów! — odrzekł Lu. — Witamy serdecznie na Leonidzie!

Uczył również powitalny gest, ale musieli przejść jeszcze z dziesięć kroków, zanim się spotkali.

— Bardzo się cieszę — powiedział Lu, uśmiechając się szeroko.

— Wynudził się pan za wszystkie czasy?

— Skonać można było z nudów! Sam jeden na całej planecie.

Za plecami Popowa ktoś krzyknął: „A żesz ty...!” — i coś z łoskotem runęło w trawę.

— To właśnie Borys Fokin — zaprezentował Popow nie odwracając głowy. — Archeolog „wańka–wstańka”.

— To przez tę diabelską trawę... — wykrztusił Borys Fokin podnosząc się niezdarne. Miał rude wąsiki, usiany piegami nos i zsunięty na bakier biały plastikowy hełm. Borys wytarł pośpiesznie o spodnie swe zabrudzone zielenią dłonie i przedstawił się: — Archeolog Fokin z grupy Tropiciele Śladów. Bardzo miło mi poznać fizyka Lu.

Przedstawił się uroczyście, według wszelkich zasad, których go widocznie jeszcze niedawno uczono w szkole.

— Witam serdecznie, archeologu Fokin — powiedział Lu.

— A to jest Tatjana Palej, także archeolog — rzekł znowu Popow.

Lu zbliżył się i grzecznie skłonił głowę. Dziewczyna miała szare zuchwałe oczy i olśniewająco białe zęby. Ręka jej była silna i szorstka. Nawet kombinezon umiała nosić z wdziękiem.

— Nazywam się Tania — oświadczyła.

— A ja Guan–Czen — niezdecydowanie wymamrotał Lu.

— Mboga — przedstawił Popow — biolog i myśliwy.

— Gdzie on jest? — zapytał Lu. — Ach, proszę mi wybaczyć. Stokrotnie przepraszam!

— Nie szkodzi, fizyku Lu — powiedział Mboga, witając się serdecznie.

Mboga był Pigmejem z Kongo i ponad trawą wystawała tylko jego czarna głowa, owinięta białą chustką. Obok głowy sterczała masywna, czarna lufa karabinu.

— To jest Tora Myśliwy — powiedziała ciepło Tatjana.

Lu musiał się schylić, aby uścisnąć rękę Torze Myśliwemu. Teraz wiedział, kim jest Mboga: Tora Myśliwy — to przecież członek komitetu, sprawującego opiekę nad fauną innych planet; to biolog, mający w swoim dorobku odkrycie „bakterii życia” na Pandorze; to zoopsycholog,

który oswoił potworne marsjańskie „sora–tobu–hiru” — latające pijawki. Lu czuł się strasznie zażenowany swoją gafą.

— Widzę, że pan jest bez broni, fizyku Lu — zauważył Mboga.

— W ogóle to ja mam pistolet — odrzekł Lu. — Ale on jest bardzo ciężki.

— Rozumiem — powiedział Mboga z aprobatą, po czym rozejrzał się dokoła. — Mimo wszystko podpaliliśmy step — rzekł ściszym głosem.

Lu odwrócił się. Od pagórka aż do samego horyzontu ciągnęła się płaska równina, pokryta lśniąca, soczystą trawą. Ze trzy kilometry od wzgórza płonęła trawa, podpalona reaktorem rakiety desantowej. W białawe niebo wznosiły się z wolna gęste kłęby jasnego dymu. Za dymem majaczyła rakietka — ciemne jajko na trzech rozstawionych podpórkach. Wokół rakiety czerniał szeroki, wypalony krąg.

— To nic strasznego — powiedział Lu — trawa szybko zgaśnie. Tu jest bardzo wilgotno. Chodźcie, to wam pokażę wasze gospodarstwo.

Wziął Popowa pod rękę i powiodł go obok helikoptera na drugą stronę wzgórza. Pozostali ruszyli ich śladem. Lu obejrzał się kilka razy, z uśmiechem machając ku nim ręką.

Popow burknął ze złością:

— Zawsze jest nieprzyjemnie, gdy człowiek tak nabałagani przy lądowaniu.

— Trawa szybko zgaśnie — powtórzył Lu.

Słyszał, jak idący za nim Fokin troszczy się pieczołowicie o archeologa: „Ostrożnie, Taniu, tu, zdaje się, jest kępa”... — „Utrapienie ty moje — odpowiadała inżynier archeolog. — Sam patrz lepiej pod nogi”.

— Oto wasze gospodarstwo — oznajmił Lu.

Bezkresną, zieloną równinę przecinała szeroka, spokojna rzeka. Na zakręcie rzeki błyszczał w słońcu karbowany dach.

— To moje laboratorium — zakomunikował Lu.

Na prawo od laboratorium unosiły się w niebo kłęby czerwonego i czarnego dymu.

— A tam buduje się magazyn — poinformował..

Widać było, jak w dymie miotają się jakieś cienie. Na moment ukazała się wielka, niedołączna maszyna na gąsienicach — robot–matka, wśród dymów od razu coś błysnęło, rozległ się donośny łoskot i jeszcze gęstsze kłęby buchnęły w niebo.

— A tam oto jest miasto — wskazał Lu.

Od bazy do miasta było niewiele więcej niż kilometr. Z pagórka budynki miasta wyglądały jak szare płaskie cegły. Szesnaście szarych, olbrzymich cegieł...

— Istotnie — powiedział Fokin — bardzo oryginalne rozmieszczenie.

Popow w milczeniu skinął głową. To miasto było zupełnie niepodobne do innych. Do momentu Odkrycia planety Leonidy, Tropiciele Śladów — jak nazywano pracowników komisji zajmującej się badaniem śladów działalności innych istot rozumnych w Kosmosie — zetknęli się jedynie z dwoma miastami. Z opustoszałym miastem na Marsie i równie pustym miastem na Władysławie — planecie błękitnej gwiazdy EN–17. Miasta te najwyraźniej budował sam architekt. Były tam cylindryczne, wrzynające się wiele pięt w głąb gmachy ze świecącej substancji krzemoorganicznej, rozmieszczone koncentrycznie.

Miasto na Leonidzie miało zupełnie inny wygląd. Były to po prostu dwa rzędy szarych pudełek z porowatego wapienia.

Popow w milczeniu skinął głową. To miasto było zupeł nie niepodobne do innych. Do momentu odkrycia pis Leonidy, Tropiciele Siadów — jak nazywano pracowników komisji zajmującej się badaniem śladów działalności nych istot rozumnych w Kosmosie — zetknęli się j« z dwoma miastami. Z opustoszałym miastem na i równie pustym miastem na Władysławie — planecie kitnej gwiazdy EN—17. Miasta te najwyraźniej budował sam architekt. Były tam cylindryczne, wrzynające się wiele pięt w głąb gmachy ze świecącej substancji krzemc organicznej, rozmieszczone koncentrycznie.

Miasto na Leonidzie miało zupełnie inny wygląd. Były po prostu dwa rzędy szarych pudełek z porowatego waf niaka.

— Czy odwiedzał pan miasto po Gorbowskim? — zapytał Popow.

— Nie — a — odpowiedział Lu — ani razu. Właściwie miałem kiedy. Zresztą nie jestem archeologiem, lecz fizykiem atmosferycznym. No i wreszcie Gorbowski mnie, bym tam nie chodził.

— Bu–buch! — rozległo się z budowy. Gęstymi obłokami rwały się w górę czerwone kłęby dymu. Wśród nic zarysowywały się już gładkie ściany magazynu. Robot–matka wydostawała się z dymu na trawę. Obok niej skakały czarne cybernetyczne roboty–budowniczy, podobne pielgrzymów. Następnie cybery ustawiły się w szeregu i pobiegly nad rzekę.

— Dokąd to one? — z ciekawością zapytał Fokin.

— Kąpać się — rzekła Tania.

— Wyrównują zaporę — wyjaśnił Lu. — Magazyn już prawie gotów. Trzeba je zaraz przestroić na inny system, gdyż będą budować hangar i wodociąg.

— Wodociąg! — zapał z zachwytu Fokin.

— Wolałbym jednak przenieść bazę nieco dalej od miasta — rzekł Popow z wahaniem.

— Tak zarządził Gorbowski — odpowiedział Lu. — Niedobrze jest oddalać się zbytnio od bazy.

— To także racja — przyznał Popow. — Żeby tylko cybery nie uszkodziły miasta.

— Ależ skąd! — obruszył się Lu. — One mi tam nie pójda.

— Jaka to wspaniale urządzona planeta — przemówił Mboga.

— Tak, to prawda — radośnie potwierdził Lu. — Rzeka, powietrze, zieleń i żadnych komarów, żadnych szkodliwych owadów!

— Uroczy zakątek — powtórzył Mboga.

— A kąpać się można? — zapytała Tania.

Lu popatrzył na rzekę. W jej zielonkawych odmętach trudno się było przejrzeć, ale poza tym była to jednak najpocziwsza rzeka z najprawdziwszą pod słońcem wodą. Leonida była pierwszą planetą, na której znaleziono powietrze, nadające się do oddychania, i prawdziwą wodę.

— Myślę, że można się kąpać — powiedział Lu. — Wprawdzie ja sam się nie kąpałem, nie miałem czasu.

— Wobec tego będziemy się kąpać codziennie! — ucieszyła się Tania.

— Nie zgadzam się — zaoponował Fokin. — Trzy razy dziennie! Właściwie to kąpiel będzie chyba naszym głównym zajęciem...

— No, dobrze — przerwał mu Popow. — A tam co? — zapytał, patrząc na pasmo płaskich wzgórz na horyzoncie.

— Nie wiem — wrzucił ramionami Lu. — Tam jeszcze nikt nie był. Walkenstein nagle zachorował i Gorbowski musiał go zabrać. Zdażył tylko wyładować dla mnie sprzęt i odleciał.

Przez pewien czas wszyscy stali w milczeniu i patrzyli na wzgórze, rozciągające się na horyzoncie. Pierwszy odezwał się Popow:

— Za jakieś trzy dni sam polecę wzdłuż rzeki w obie strony.

— Jeśli są jeszcze jakiegokolwiek ślady — zauważył Fokin — to niewątpliwie należy ich szukać właśnie przy rzece.

— Na pewno — grzecznie zgodził się Lu. — A teraz chodźmy do mnie.

Popow obejrzał się na helikopter.

— Nic mu nie będzie, niech zostanie tutaj — powiedział Lu. — Hipopotamy nie wchodzą na wzgórze.

— Oo — zdziwił się Mboga. — Hipopotamy?

— To tylko ja je tak nazywam. Z daleka są nawet podobne do hipopotamów, ale z bliska ich nie widziałem.

Zaczęli wreszcie schodzić ze wzgórza.

— Po tamtej stronie trawa jest bardzo wysoka, widziałem tylko ich grzbiety — ciągnął Lu. Mboga szedł obok niego miękkim, posuwistym krokiem, rozsuwając falującą trawę.

— Poza tym są tu też ptaki — wyjaśniał gospodarz swym gościom. — To istne olbrzymy i w dodatku latają nieraz bardzo nisko. Jeden ptak o mało co nie przewrócił mi lokatora.

Popow, nie zwalniając kroku, popatrzył w niebo, zakrywając oczy od słońca.

— Przy okazji — powiedział — muszę posłać radiogram na „Słonecznik”. Czy można będzie skorzystać z waszej radiostacji?

— Ile dusza zapagnie — odpowiedział Lu.

— Wie pan, Percey Dixon chciał ustrzelić jednego. Mówię o ptakach. Ale Gorbowski nie pozwolił.

— Dlaczego? — zapytał Mboga.

— Nie wiem, nie mam pojęcia. Ale był strasznie rozgniewany i — nie uwierzycie chyba — chciał odebrać nam wszystkim broń.

— Nam nawet zabrał — powiedział Popow. — To był wielki skandal na Radzie. Według mnie, wyszło bardzo nieładnie — Gorbowski wprost przytłoczył nas wszystkich swoim autorytetem.

— Prócz Tory Myśliwego — wtrąciła Tania.

— No cóż, ja broń wziąłem — przytaknął Mboga.

— Ale ja rozumiem Leonida Andriejewicza. Tu jakoś wcale nie chce się strzelać.

— A mimo wszystko Gorbowski to dziwak! — wybuchnął Fokin.

— Każdy ma swoje dziwactwa — powiedział Lu powściągliwie. — Moim zdaniem, to wspaniały człowiek.

Podeszli wreszcie do obszernej kopuły laboratorium z niskimi, okrągłymi drzwiczkami. Nad kopułą obracały się w różne strony trzy kratownicowe dyski lokatorów.

— Tu oto można rozbić wasze namioty — zaproponował Lu. — A jeśli trzeba, to dam rozkaz cyberom, by wybudowały wam coś bardziej trwałego.

Popow spojrział na kopułę, popatrzył na kłęby czerwonego i czarnego dymu za laboratorium, następnie obejrzał się na szare dachy miasta i rzekł z poczuciem winy:

— Wie pan, Lu? Boję się, że będziemy tu panu przeszkadzać. I do miasta taki kawał. Już lepiej urządzimy się jakoś w mieście, co?

— I zresztą tu jakoś pachnie spalenizną — dodała Tania — a ja do tego boję się cyberów...

— Ja również nie znoszę cyberów — solidarnie dołączył się Fokin.

Lu z urazą wzruszył ramionami.

— Jak chcecie — powiedział. — Według mnie, tu jest bardzo dobrze.

— Gdy tylko rozbijemy obóz — rzekła Tania — ściągniemy pana z pewnością. Sam pan zobaczy, jak u nas będzie świetnie. A od miasta do bazy jest przecież bliżutko!

— No cóż — powiedział Lu. — Czemu by nie...? Ale na razie proszę do mnie...

Archeolodzy, schyliwszy się uprzednio, skierowali swe kroki ku niskim drzwiczkom. Mboga szedł ostatni, nie chyląc czoła przed niczym.

Lu stanął na progu i rozejrzał się. Gdy zobaczył zdeptaną ziemię, pożółkłą, zmiętą trawę, ponure stosy stopionego żelastwa, to nagle uświadomił sobie, że tu rzeczywiście pachnie spalenizną.

II

W mieście była tylko jedna jedyna ulica, bardzo szeroka, porośnięta gęstą trawą. Ciągnęła się prawie dokładnie wzdłuż południka i kończyła niedaleko rzeki. Popow postanowił rozbić obóz w centrum miasta. Pracę zaczęli o trzeciej po południu według czasu miejscowego (doba na Leonidzie miała nieco ponad 27 godzin).

Upał jakby się wzmógł. Wiatru nie było, nad szarymi prostopadłościanami budynków drżało rozpalone powietrze i tylko w południowej części miasta, bliżej rzeki, było nieco przewiewnie. Pachniało — jak mówił Fokin — sianem i „troszeczkę chlorellową* plantacją”.

Popow zabrał ze sobą Mbogę a także Lu, który zaproponował mu swą pomoc. Wsiedli w helikopter i poszybowali ku rakiemie, aby przywieźć z niej aparaturę i produkty, Tatjana zaś i Fokin zajęli się pomiarami miasta. Sprzętu było niewiele i Popow przewiózł go w dwóch partiach. Kiedy przyleciał po raz pierwszy, Fokin, pomagający przy wyładowywaniu, zakomunikował głosem dającym wiele do myślenia, że wszystkie budynki miasta mają bardzo zbliżone do siebie wymiary, a ich odchylenia od średnich dadzą się doskonale ułożyć w klasyczną krzywą prawdopodobieństwa.

— To bardzo ciekawe — zauważył grzecznie Lu.

— Dowodzi to — kontynuował Fokin — że wszystkie budynki mają to samo przeznaczenie. Pozostaje tylko ustalić — jakie? — dodał po namyśle.

Kiedy helikopter wrócił ponownie, Popow zobaczył, że Tania i Fokin ustawili wysoką żerdź, wznosząc ponad miastem nieoficjalny sztandar Tropicielei Śladów — białe płótno ze stylizowanym emblematem siedmiobocznej nakrętki śruby.

W odległych czasach, prawie półtora stulecia temu, pewien wielki badacz Kosmosu — zacięty przeciwnik studiowania śladów działalności innych istot rozumnych w Kosmosie — oświadczył pochopnie, że za niezbite świadectwo tego rodzaju działalności gotów jest uznać wyłącznie koło na osi, graficzne przedstawienie twierdzenia Pitagorasa, wykute w skale, i siedmioboczną śrubkę. Tropiciele Śladów przyjęli wyzwanie i ozdobili swój sztandar emblematem śrubki.

Popow z zadowoleniem zaszalutował sztandarowi. Wiele spalono paliwa, wiele przebyto parseków* od narodzin tego sztandaru. Po raz pierwszy wzniesiono go nad kolistymi ulicami opuszczonego miasta na Marsie. Wtedy jeszcze krążyły fantastyczne hipotezy, że zarówno miasto, jak i sputniki Marsa mogą być pochodzenia naturalnego. Wtedy tylko najśmielsi Tropiciele Śladów uważali, że miasto i sputniki są jedynymi śladami marsjańskiej cywilizacji, która znikła w tak tajemniczy sposób. I wiele jeszcze musiano przebyć parseków, wiele ziemi przekopano, zanim zatriumfowała jedynie słuszna hipoteza: opustoszałe miasta i porzucone sputniki zostały zbudowane przez przybyszy z odległego i nieznanego systemu planetarnego. Ale co z tym miastem na Leonidzie...

Popow wyrzucił z kabiny helikoptera ostatni toból, zeskoczył w trawę i z rozmachem zatrzasnął drzwiczki. Lu podszedł do niego, rozwijając podwinięte rękawy, i powiedział:

— Pozwólcie, że was teraz pożegnam, archeologu Popow. Za dwadzieścia minut mam przeprowadzić sondowanie.

— Oczywiście — odparł Popow. — Nie ma o czym mówić. Serdecznie dziękuję, Lu. Proszę przyjść do nas na kolację. Lu spojrzął na zegarek i powiedział:

— Dziękuję, ale nie wiem jeszcze, czy przyjdę. Mboga, oparłszy strzelbę o ścianę najbliższego budynku, nadmuchiwał namiot na samym środku ulicy. Rzucił okiem za

* Z chlorella vulgaris wyrabia się antybiotyk — chlorelinę (chlorellin).

* Parsek — jednostka miary odległości w astronomii równa 3,26 lat świetlnych.

oddalającym się Lu, a później przeniósł wzrok na Popowa, rozciągając w uśmiechu swe szare wargi na drobnej pomarszczonej twarzy.

— Wiesz, Anatolu! — powiedział. — To rzeczywiście znakomicie urządzona planeta. Chodzi się tu bez broni, rozstawia namioty po prostu w trawie... I do tego jeszcze spójrz...

Skinął w stronę Fokina i Tania. Obydwoje, wydeptawszy wokół siebie trawę, guzdrali się w cieniu budynku, urządzając swe podręczne laboratorium. Tania była w jedwabnej bluzce bez rękawów i w krótkich spodenkach. Jej ciężkie trzewiki błyszczały na dachu budynku ponad głową swej właścicielki, a kombinezon poniewierał się obok, porzucony na tłumokach. Fokin zaś w spodenkach gimnastycznych z wściekłością ścigał przez głowę mokrą od potu bluzę.

— Utrapienie ty moje — mówiła Tania. — Gdzieś ty podłączył akumulatory?

— Zaraz, zaraz, Tanieczko — niewyraźnie odpowiadał Fokin.

— O tak, doktorze Mboga — zgadzał się Popow. — Na szczęście, to nie Pandora.

Wyciągnął z tłumoka drugi namiot i zaczął dopasowywać do niego pompę odśrodkową. „Tak, to nie Pandora” — pomyślał i przypomniał sobie, jak na Pandorze przedzierał się przez ponurą dżunglę w ciężkich skafandrach najwyższej mocy, ściskając w rękach masywny dezintegrator w każdej chwili gotowy do strzału. Pod nogami chlupotało i za każdym krokiem w różne strony rzucały się wielonogie obrzydliwe stwory, a nad głowami, poprzez płataninę lepkich gałęzi, mrocznie migotały krwawym blaskiem dwa bliskie słońca. Ba, czyż to jedynie Pandora była tak niegościnna?! Na wszystkich planetach z atmosferą Tropiciele Śladów i Desantowcy poruszali się z wielką ostrożnością, pędzili przed sobą całe kolumny robotów-zwiadowców, ruchome cybernetyczne mikrobiolaboratoria, toksynoanalizatory, skondensowane obłoki uniwersalnych kontrawirusów. Bezwzględnie po wylądowaniu kapitan był obowiązany wypalić termitem strefę bezpieczeństwa i za największe przestępstwo uważano powrót na statek bez profilaktycznej dezynfekcji i dezynsekcji, które przeprowadzano w sposób niezwykle dokładny. Niewidoczne potworki, straszniejsze od dżumy i trądu, czekały na nieostrożnych. Tak było zaledwie dziesięć lat temu.

Tak mogłoby być i teraz, na tak cudownym tworze, jakim jest planeta Leonida. Przecież ona także obfituje w mikrofaunę, i to bardzo bogatą. Ale dziesięć lat temu maleńki dr Mboga odnalazł na strasznej Pandorze „bakterię życia”, a profesor Karpienko odkrył na Ziemi bioblokadę. Jeden zastrzyk na dobę lub nawet na tydzień i możesz gwizdać na wszystkie choroby wszechświata.

Popow wytarł spoconą twarz i zaczął rozpinąć kurtkę. Kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi i białawe niebo na wschodzie zaczęło przybierać odcień ciemnoliliowy, wszyscy zasiedli do kolacji. Obóz był gotów. W poprzek ulicy stały trzy namioty, tobołki i skrzynki ze sprzętem zostały starannie złożone wzdłuż ściany jednego z budynków. Fokin, wdychając, przygotował kolację. Wszyscy byli porządnie głodni i dlatego nie czekali na Lu. Z obozu widać było zresztą, że Lu siedzi na dachu swego laboratorium i coś majstruje przy antenach.

— Zostawimy mu jego porcję — powiedziała Tania.

— Nie martw się — odrzekł Fokin, jedząc gotowaną cielęcinę. — Przeglądzi się, to przyjdzie.

— W niezbyt szczęśliwym miejscu ustawiłeś helikopter, Tolu — stwierdziła nagle Tatjana. — Cały widok na rzekę nam zasłoniłeś.

Wszyscy popatrzyli na helikopter. Rzeczywiście rzeki nie było widać.

— Za to z dachu widać ją doskonale — z niezmaconym spokojem odparł Popow.

— Ależ nie — zaprotestował Fokin, siedzący do rzeki plecami. — Nie można dojrzeć żadnego obiektu, który by cieszył nasze oko.

— Jak to żadnego? — z zimną krwią zapytał znów Popow. — A cielęcina?

Położył się raptem na plecach i zaczął patrzeć w niebo.

— Oto, o czym ja myślę — przemówił Fokin, wycierając serwetką wąsy. — Jak właściwie będziemy przedostawać się do wnętrza tych trumien? — wyjęczał, dotykając palcem najbliższego gmachu. — Będziemy kopać czy ciąć ścianę?

— Kiedy to żaden problem — odezwał się Popow ospale. — Ciekawe tylko, jak się tam dostawali właściciele tych domów. Czy też cięli ściany?

Fokin popatrzył w zadumie na Popowa i rzekł:

— A co ty właściwie wiesz o tych właścicielach? Może wcale nie zamierzali tam wchodzić?

— Aha — podchwyciła Tania. — Nowy system architektury. Człowiek siadał sobie na trawkę, wznosił dokoła siebie ściany i sufit i...

— I odchodził — zakończył Mboga.

— A może to rzeczywiście grobowce? — wyzywająco rzekł Fokin.

Przez pewien czas wszyscy zastanawiali się nad tym przypuszczeniem.

— Tatjano, a co z analizami? — zapytał Popow.

— Wapień — odpowiedziała Tania. — Kwasowęglowy wapień. Oczywiście z różnymi naleciałościami, zwłaszcza w budynkach położonych najbliżej rzeki. Ale czy wy w ogóle wiecie, do czego to wszystko podobne? Do raf koralowych. I wygląda mi na to, że cały budynek wykonano z jednego kawałka...

— Monolit pochodzenia naturalnego — przemówił Popow.

— No i masz ci los! Znów — „naturalnego”! — rozżłościł się Fokin. — Charakterystyczna prawidłowość: wystarczy odkryć nowe ślady i natychmiast znajdują się towarzysze, którzy oświadczą, że są to formacje pochodzenia naturalnego.

— Kiedy to zupełnie logiczne przypuszczenie...

— Przecież jutro złożymy intrawizor i zobaczymy, kto ma rację — powiedziała Tania. — Najważniejsze, że ten wapień nie ma nic wspólnego z bursztynem, z którego zostało zbudowane marsjańskie miasto. No i miasto na Władysławie.

— To znaczy, że jeszcze ktoś się włóczy po planetach — zakonkludował Popow.

— Dobrze by było, gdyby oni tym razem zostawili nam coś bardziej konkretnego.

— Żeby tak znaleźć bibliotekę — rozmarzył się Fokin. — No i jakieś maszyny!

Zapanowało milczenie. Mboga wyjął krótką fajeczkę i począł ją nabijać. Przykucnąwszy patrzył w zadumie na liliowe niebo ponad namiotami. Na jego maleńkiej twarzy, odcinającej się od białej chustki, malował się wyraz błęgiego spokoju i pełnego zadowolenia.

— Jak cicho — szepnęła Tania.

Bum! Bach! Trach! — rozległo się od strony bazy.

— A niech to diabli — burknął Fokin. — A to po co?

Mboga wypuścił krąg dymu i westchnął:

— Rozumiem was, Boria. Ja sam po raz pierwszy w życiu nie doznaję radości, słuchając, jak nasze maszyny pracują na obcej planecie.

— W tym właśnie sęk, że ta jakoś wcale nie jest obca — powiedziała Tania.

Wielki czarny żuk przyleciał nie wiadomo skąd, brzęcząc ciężko, i zatoczywszy dwa kręgi nad Tropicielami, odleciał z powrotem.

— Cudownie — orzekła Tania. — Prawda, jaki błogi nastrój?

Fokin zasapał z cicha, wtuliwszy głowę w zgięcie łokcia. Tania podniosła się i odeszła od namiotu. Popow także wstał i przeciągnął się z rozkoszą. Taka niezmacona cisza panowała wokół, że zmieszał się niesłychanie, gdy Mboga zerwał się nagle na równe nogi, jakby podrzucony sprężyną, po czym zamarł w bezruchu, zwróciwszy twarz ku rzece. Popow oczywiście także odwrócił się ku błyszczącej wstędze.

Jakieś olbrzymie czarne cielsko toczyło się ku obozowi od strony rzeki. Helikopter częściowo je zasłaniał, ale widać było, jak się kołysze w biegu i jak zachodzące słońce błyszczy na jego wilgotnych, lśniących bokach, rozdętych niczym brzuch hipopotama. Ta góra mięsa poruszała się dość szybko, torując sobie drogę w trawie i Popow z przerażeniem zobaczył, jak

helikopter zachybotał się, a następnie zaczął powoli przechylać się na bok. Między ścianą budynku a dnem helikoptera przycisnęło się niskie masywne czoło z dwiema okazałymi wypukłościami. Popow ujrzał dwa małe tępą ślepią, skierowane — jak mu się zdawało — prosto na niego.

— Ostrożniej! — ryknął na całe gardło, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi.

Helikopter runął na ziemię i zarył się w trawę...

Potwór w dalszym ciągu zbliżał się do obozu. Miał on co najmniej trzy metry wysokości, jego płaskie boki miarowo wznosiły się, to znów opadały i rozlegało się rytmiczne donośne sapanie.

Popow usłyszał, jak za jego plecami Mboga szczęknięt zamkiem karabinka. Wówczas dopiero ocknął się, rejterując do namiotów. Lecz wyprzedził go Fokin, który zdumiewającym cwałem przemknął obok niego na czworakach. Potwór był już o jakieś dwadzieścia kroków.

— Zdążycie zwinąć obóz? — rzucił Mboga.

— Nie — odparł Popow.

— Będę strzelał'

— Zaczekajcie — rzekł Popow, po czym ruszył naprzód, machnął ręką i krzyknął: — Stój!

Na chwilę góra żywego mięsa stanęła jak wryta. Najeżone guzami czoło uniosło się nagle i wszyscy zobaczyli otwierającą swe podwoje potężną paszczę nie mniejszą od kabiny helikoptera, wypełioną po brzegi zieloną trawiastą masą.

— Tola! — krzyknęła Tania. — Wracaj natychmiast! Potwór wydał z siebie przeciągły chrapliwy dźwięk i ruszył naprzód jeszcze szybciej.

— Stój! — zawołał znowu Popow, ale już bez większego entuzjazmu. — Widocznie jest trawozerny — powiedział i zaczął z wolna wycofywać się w stronę namiotów.

Obejrzał się jeszcze. Mboga czekał z karabinkiem przy ramieniu i Tania już zatykała uszy. Obok Tani, z tobołem na plecach i trójnogiem w rękę, stał Fokin, nastroszywszy wąsy.

— Czy będzie się dziś do niego strzelać, czy nie? — ryknął pełnym napięcia głosem. — Uciekać z intrawizorem, czy...

Du–dut! Półautomatyczny sztucer myśliwski Mbogi miał kaliber 16,3 mm i siła uderzenia kuli z odległości dwudziestu kroków równała się ośmiu tonom. Uderzenie wypadło akurat w sam środek czoła między dwoma guzami. Potwór z rozmachem przysiadł na zadzie.

Du–dut! Drugie uderzenie powaliło potwora na grzbiet. Krótkie, tłuste nogi konwulsyjnie zadrgały w powietrzu. Chchaa–aa... rozległo się z gęstej trawy. Wzdęło się i opadło czarne brzuszysko i wszystko ścichło. Mboga opuścił karabin.

— Chodźmy obejrzyć — powiedział.

Potwór nie ustępował wcale swymi rozmiarami dorosłemu afrykańskiemu słoniowi, ale przypominał raczej gigantycznego hipopotama.

— Krew czerwona — zauważył Fokin.

— A to co takiego?

Potwór leżał na boku a wzdłuż jego brzucha ciągnęły się trzy rzędy miękkich wyrostków wielkości pięści. Z wyrostków sączyła się lśniąca, gęsta ciecz. Nagle Mboga głośno wciągnął nosem powietrze, wziął na koniuszek palca kroplę płynu i spróbował językiem.

— Fu! — wstrząsnął się Fokin.

Na wszystkich twarzach odmalował się ten sam wyraz.

— Miód — przemówił wreszcie Mboga.

— Co takiego?! — zdziwił się Popow.

Zawahał się przez chwilę i w końcu sam wyciągnął palec. Tania i Fokin ze wstrętem śledzili jego ruchy. — Prawdziwy miód! — oświadczył. — Lipowy miód!

— Doktor Dixon mówił, że w tej trawie jest dużo sacharydów — zauważył Mboga.

— Miodonośne monstrum — przemówił Fokin. — Szkoda, że my go tak...

— Co za „my” — obruszyła się Tania. — Utrapienie ty moje, weź się wreszcie za intrawizor.

— No dobrze — powiedział Popow. — Ale co dalej robić? Taki upał, a do tego jeszcze tyle ścierwa przy obozie...

— To już moja sprawa — stwierdził Mboga. — Odciągnijcie namioty ze dwadzieścia kroków wzdłuż ulicy, a ja zrobię wszystkie pomiary, popatrzę coś niecoś i zniszczę go.

— Jak? — zapytała Tania.

— Dezintegratorem. Przecież go mam. A ty, Taniu, lepiej stąd zmykaj. Zaraz wezmę się do bardzo nieapetycznej pracy.

Rozległ się nagle tupot nóg i zza namiotów wybiegł Lu z wielkim automatycznym pistoletem.

— Co się stało? — zawołał, chwytając łąpczywie powietrze.

— Zabiliśmy jednego z waszych hipopotamów — powiedział Fokin z przesadną powagą.

Lu szybko objął wszystkich wzrokiem i od razu uspokoił się.

— Czy to zwierzę na was napadło? — spytał, wkładając pistolet za pas.

— Właściwie to nie — odrzekł Popow zmieszany. — Według mnie, to ono po prostu spacerowało, ale trzeba je było jakoś zatrzymać.

Lu popatrzył na przewrócony helikopter i skinął głową.

— A czy on jest jadalny? — krzyknął Fokin z namiotu.

— Zdaje się, że ktoś go już próbował jeść — odparł Mboga z niezmaconym spokojem.

Popow i Lu podeszli do niego. Mboga obmacywał palcami proste, szerokie i głębokie blizny na grzbiecie zwierzęcia.

— To jakieś potężne kły przeorały mu polędwicę — powiedział Mboga. — I ostre jak noże. Wygląda na to, że ktoś ścinał z niego za jednym zamachem kawały mięsa, ważące po dwa, trzy kilogramy.

— To okropne! — z nieukrywaną trwogą krzyknął Lu.

Dziwny przeciągły krzyk rozległ się wysoko nad ziemią.

— Oto one! — powiedział Lu.

Na miasto sfrunęły gwałtownie wielkie jasnoszare ptaki, podobne do orłów. Lecąc gęsiego spadały kolejno z niebywalej wysokości i dopiero tuż nad samymi głowami ludzi rozpościerały szeroko swe miękkie skrzydła, by tak samo gwałtownie wzbić się w górę, owionawszy wszystkich falami ciepłego powietrza. Były to olbrzymie ptaki, potężniejsze od ziemskich kondorów i nawet od latających smoków Pandory.

— Drapieżcy! — gorączkował się Lu. Chciał już wyciągnąć zza pasa pistolet, gdy Mboga schwycił go mocno za rękę.

Ptaki przelatywały nad miastem, uchodząc na zachód. Kiedy w liliowym wieczornym niebie rozplynęły się kontury ostatniego ptaka, rozległ się ten sam trwożny przeciągły krzyk.

— Niewiele już brakowało, żebym wystrzelił — odetchnął z ulgą Lu.

— Ja wiem — powiedział Mboga. — Ale mnie się wydało... — urwał nagle.

— Właśnie — powiedział Popow. — Mnie się też wydało...

III

Po pewnym namyśle Popow polecił nie tylko odsunąć namioty o dwadzieścia kroków, lecz przenieść je przede wszystkim na płaski dach jednego z budynków. Budynki były niskie — miały zaledwie metr osiemdziesiąt i wchodzić na nie było łatwo. Na dach sąsiedniego domu Tania i Fokin wciągali toboły z najcenniejszymi przyrządami. Zajęto się także helikopterem, który — jak się wyjaśniło — wyszedł bez szwanku. Popow wystartował na nim i z pedantyczną dokładnością osiadł na dachu trzeciego domostwa.

Mboga prześlęczał całą noc przy świetle reflektorów nad padłem potwora. O świcie cała ulica rozbrzmiewała przenikliwym syczeniem, nad miastem wzleciał w górę wielki obłok białej pary, po czym rozgorzała na mgnienie oka pomarańczowa luna. Fokin, który nigdy przedtem nie widział, jak działa organiczny dezintegrator, w samych spodenkach wyskoczył z namiotu, ale zobaczył tylko Mbogę, zabierającego bez pośpiechu reflektory, i wielki stos drobniutkiego szarego proszku na szerniałej trawie. Z miodonośnego monstrum pozostał tylko doskonale spreparowany, obłany przejrzystą masą plastyczną potworny łeb, przeznaczony dla Muzeum Kosmozoologii w Kapsztadzie.

Fokin, życząc Mbodze miłego poranku, miał już wrócić do namiotu, by sobie jeszcze pospać, gdy spotkał się oko w oko z Popowem.

— A dokąd kto? — zainteresował się Popow.

— Przecież muszę się ubrać — z godnością odrzekł Fokin.

Ranek był świeży i jasny, tylko na południu na liliowym niebie znieruchomiały białe rozwichrzone chmury. Popow zeskoczył na trawę i poszedł przygotować śniadanie. Chciał zrobić jajecznicę, ale wkrótce zorientował się, że nie może nigdzie znaleźć masła.

— Borys! — zawołał. — Gdzie masło?

Fokin stał na dachu w dziwnej pozie: zajmował się gimnastyką według własnego systemu.

— Nie mam pojęcia — odparł stanowczo.

— Przecież byłeś wczoraj dyżurnym.

— Zaraz, zaraz... no, tak. To znaczy, że masło jest tam, gdzie było wczoraj.

— A gdzie ono było wczoraj? — zapytał grzecznie Popow, z trudem panując nad sobą.

Fokin z pomrukiem niezadowolenia wyciągnął głowę spod prawego kolana.

— Skąd mam wiedzieć? — burknął. — My przecież poprzestawialiśmy potem wszystkie skrzynki.

Popow, wysławszy go do wszystkich diabłów, zaczął cierpliwie obszukiwać skrzynkę po skrzynce. Masła jednak nie było. Wtedy podszedł do budynku i — chwyciwszy Fokina za nogę — ściągnął na dół.

— Gdzie masło? — wrzasnął.

Fokin otwierał już usta, gdy nagle zza rogu wyszła Tania w bluzeczce bez rękawów i w krótkich spodenkach. Włosy miała mokre.

— Dzień dobry, chłopcy — powiedziała.

— Dzień dobry, Taniu — odezwał się Fokin wesoło. — Czyś nie widziała przypadkiem skrzynki z masłem?

— Gdzieś ty była? — warknął wściekle Popow.

— Kąpałam się — odpowiedziała Tania.

— A niech to diabli! Kto ci pozwolił?

Tania odpięła od paska i rzuciła na skrzynki duży elektryczny nóż w pochwie z masy plastycznej.

— Toleczku — zaszczebotała — tam nie ma żadnych krokodyli. Wyborna woda z trawiastym dnem.

— Czy nie widziałaś masła? — zapytał Popow.

— Masła nie zauważyłam, ale kto za to widział moje trzewiki?

— Ja widziałem — rzekł Fokin. — Są na tamtym dachu.

— Kiedy na tamtym dachu właśnie ich nie ma.

Wszyscy troje odwrócili się i popatrzyli na dach. Trzewików rzeczywiście nie było. Wówczas Popow przeniósł wzrok na doktora Mbogę. Doktor Mboga leżał w cieniu, rozciągnięty na trawie, i mocno spał, podłożywszy pod policzek małą piastkę.

— No, coś ty — obruszyła się Tatjana. — Po cóż mu moje trzewiki?

— Albo masło — dodał Fokin.

— Może mu to przeszkadzało — warknął Popow. — No trudno, postaram się jakoś spitrasić coś bez masła.

— I bez trzewików.

— Dobrze już, dobrze — powiedział Popow. — Idź i zajmij się intrawizorem. I ty, Taniu, także. Postarajcie się go jak najszybciej złożyć.

W porze śniadania przyszedł Lu. Przed sobą pędził wielką czarną maszynę na sześciu hemomechanicznych nogach. Za maszyną pozostawała w trawie szeroka przesieka, znacząca swój ślad od samej bazy. Lu wdrapał się na dach i usiadł przy stole, a maszyna znieruchomiła pośrodku ulicy.

— Słuchajcie uważnie, fizyku Lu — zaczął Popow. — Czy u was w bazie nic nie ginęło?

— Jak mam to rozumieć? — zapytał Lu.

— No... zostawiacie cokolwiek na noc na dworze, a rano nie możecie znaleźć?

— Chyba nie — odparł Lu, wzruszywszy ramionami. — Najwyżej giną czasem jakieś drobiazgi, wszelkiego rodzaju odpadki... kawałki drutu, skrawki plastolitu. Ale myślę, że ten cały szmeln zabierały moje cybery. To bardzo oszczędni towarzysze, oni wszystko potrafią wykorzystać.

— A czy mogą im się na coś przydać moje trzewiki? — zapytała Tania z głupia frant.

Lu roześmiał się.

— Nie sądzę — odparł. — Chyba nie.

— A czy mogą zużyć na coś skrzynkę śmietankowego masła? — atakował Fokin.

Lu przestał się śmiać.

— Zginęło wam masło? — zapytał.

— I trzewiki — dodała Tania.

— Ależ nie — powiedział Lu. — Cybery do miasta nie chodzą.

Na dach zręcznie jak jaszczurka wdrapał się Mboga.

— Dzień dobry! — zawołał. — Przepraszam za spóźnienie.

Tania naląła mu kawy. Śniadanie Mbogi składało się zawsze z jednej tylko filiżanki kawy.

— A więc jesteśmy okradzeni? — zapytał z uśmiechem.

— To naprawdę nie wy, doktorze? — zdziwił się Fokin.

— Możecie mi chyba wierzyć — odrzekł Mboga. — Ale nocą ponad miastem dwukrotnie przelatywały wczorajsze ptaki...

— Taakie buty... — irytował się Fokin. — Ja gdzieś czytałem...

— No, a skrzynka z masłem? — niecierpliwie przerwał Popow.

Nikt nie odpowiedział. Mboga pił kawę w głębokiej zadumie.

— Przez dwa miesiące nic mi nie zginęło — odezwał się Lu. — Wprawdzie wszystko trzymam w kopule. Zresztą mam te swoje cybery. Stale tylko dym i łoskot. Któż by podszedł?!

— No dobrze — powiedział Fokin, wstając. — Chodźmy do pracy, Taniu. Zapomnij o trzewikach.

Gdy odeszli, Popow wziął się do zbierania naczyń.

— Od dzisiejszego wieczoru — oznajmił Lu — rozstawię wokół was warty.

— Proszę bardzo — powiedział Mboga w zadumie. — Ale ja bym, Tolu, wolał z początku sam. Teraz się prześpię, a w nocy urządzę niewielką zasadzkę.

- Dobrze, doktorze Mboga — niechętnie zgodził się Popow.
- Ja także, za pozwoleniem, chętnie wtedy przyjdę — zgłosił się Lu.
- Przyjdźcie... ale, proszę, bez cyberów.

Z sąsiedniego dachu rozległ się okrzyk oburzenia.

- Utrapienie ty moje, przecież prosiłam ciebie, abys rozłożył toboły w kolejności montażu!

— A co ja zrobiłem? Przecież rozłożyłem!

— To się u ciebie nazywa „w kolejności montażu”? Rejestr „E-7”, „A-2”, „W-16”... znowu „E”!

— Taniuska! Słowo honoru! Towarzysze! — wrzasnął na całą ulicę śmiertelnie obrażony Fokin. — Kto poprzewracał toboły?

— No i masz babo placek! — krzyknęła Tania. — A tłumoka „E-9” nie ma wcale!

Mboga cichutko dodał od siebie:

— A nam, panienko, zginęło prześcieradło.

— Co takiego? — spytał Popow, blednąc ze złości. — Szukajcie porządnie! — krzyknął i zeskoczywszy z dachu pobiegł do Fokina i Tani.

Mboga odprowadził go oczyma i skierował wzrok na południe, za rzekę. Słysząc było, jak Popow na sąsiednim dachu powiedział:

— Co właściwie zginęło?

— „WCG” — odpowiedziała Tania.

— No to cożeście się tak rozgdakali? Złóżcie nowy.

— Łatwo powiedzieć. To nam zajmie dwa dni — rzuciła gniewnie Tania.

— A więc co proponujesz?

— Trzeba będzie ciąć ścianę — rzekł Fokin. Na dachu zapanowało milczenie.

— Spójrzcie, fizyku Lu — powiedział nagle Mboga, który patrzył za rzekę, zasłaniając oczy przed słońcem.

Lu odwrócił się. Zielona równina za rzeką cała była usiana czarnymi punktami. Te ciemne plamy — to grzbiety „hipopotamów”, a było ich zatrzęsienie. Lu nigdy by nie przyszło do głowy, że za rzeką może być tak dużo tych zwierząt. Czarne punkciki powoli przesuwały się na południe.

— Ewakuacja — uśmiechnął się smutno Mboga. — Uciekają jak najdalej od miasta, za wzgórza.

IV

Popow postanowił nocować pod gołym niebem. Wyniósł z namiotu swą pościel i wyciągnął się na dachu, splótłszy ręce na karku. Niebo było ciemnoniebieskie, zza horyzontu na wschodzie wypełzał z wolna wielki zielono–pomarańczowy dysk z niewyraźnymi konturami; był to księżyc Leonidy — Palmira. Od strony ciemnej równiny za rzeką niosły się stłumione, przeciągłe okrzyki. To chyba tak dziwnie zawodziły ptaki. Nad bazą co chwila ukazywały się krótkie błyski i coś niezbyt głośno zgrzytało i trzeszczało.

„Trzeba wznieść ogrodzenie — myślał Popow. — Otoczyć miasto drutem i puścić prąd, oczywiście — nie za silny. Zresztą, jeśli to są ptaki, to parkan nic nie pomoże. A to najprawdopodobniej ptaki. Cóż to dla takiego olbrzyma ściągnąć tobołek? Z pewnością i z człowiekiem z łatwością by sobie poradził. Przecież był już wypadek, kiedy na Pandorze skrzydlaty smok porwał człowieka w skafandrze najwyższej mocy; a taki skafander — nie piórko: półtora cetnara jak obszył. U nas też może dojść do tego... Z początku trzewiki, potem węzełek, a na czym się skończy?... I na cały oddział, dzięki Gorbowskiemu, przypada jeden jedyny karabin. Oczywiście, trzeba było strzelać już wtedy — przynajmniej by się ich trochę od nas odstraszyło... Dlaczego właściwie doktor nie strzelał? Bo mu się coś «wydało». Ale ja sam bym też nie wystrzelił, gdyż mnie się także coś «zdawało»... Lecz co ja w nich właściwie takiego widziałem? — Popow mocno potarł dłonią pofałdowane od napięcia czoło. — Olbrzymie ptaki,, przepiękne ptaki, a jak leciały!... Jak cichy, lekki i pewny był ich lot... No cóż, nawet myśliwym czasem szkoda zabijać, a ja nie jestem myśliwym”.

Wśród mrugających gwiazd przesunął się z wolna przez zenit jaskrawy biały punkcik. Popow uniósł się na łokciach, ścigając go wzrokiem. Był to „Słonecznik” — półtorakilometrowy desantowy gwiazdolot superdalekiego zasięgu. Krążył teraz dookoła Leonidy w odległości dwóch megametrów od jej powierzchni. Wystarczy wysłać sygnał alarmowy i stamtąd od razu przyjdą z pomocą. Ale czy warto wysłać taki sygnał? Przepadła raptem para trzewików, dwa tobołki i coś się tam „majaczyło” dowódcy. Nie ma co mówić, doskonale urządzona planeta!

Biały punkcik zmatowiał i znikł nagle — to „Słonecznik” skrył się w cieniu Leonidy. Popow znów się położył, splótłszy ręce na karku. — „Czy czasem nie za dobrze urządzona? — pomyślał. — Ciepłe, zielone równiny, wonne powietrze, idylliczna rzeczka bez krokodyli... Może to tylko blichtr, tylko parawan, za którym działają jakieś niepojęte siły? Albo wszystko jest znacznie prostsze? Tańka zgubiła gdzieś w trawie trzewiki; Fokin, jak wiadomo, jest fajtłapą i zaginione toboły leżą teraz pod stosem części ekskawatora. Przecież to on biegł dzisiaj cały dzień wśród stosów rzeczy, rozglądając się ukradkiem na wszystkie strony!...”

Zdaje się, że Popow się zdrzemnął, a kiedy się przebudził, Palmira wzeszła już wysoko. Z namiotu, gdzie spał Fokin, rozległo się mlaskanie i pochrapywanie, na sąsiednim dachu zaś szeptano:

— ...szefostwo nad naszą szkołą objęli chemicy, więc wykombinowaliśmy trzy balony z helem i tego samego wieczoru napełniliśmy sterowiec. Kostek zlął na ziemię, by odrąbać koniec. Jak tylko oderwała się lina, poleciliśmy, a Kostek pozostał na dole. Pędził za nami i wołał, abyśmy się zatrzymali, następnie mianował mnie kapitanem i zabronił mi lecieć dalej. Ja oczywiście od razu zacząłem sterować na maszt przekaźnikowy. Tam zawisnęliśmy i wiseliśmy tak przez całą noc. I przez całą noc darliśmy się na całe gardło, próbując się dogadać: czy Kostek ma iść do kierownika szkoły, czy nie. Kostek mógł pójść, ale nie chciał, a my chcieliśmy, lecz nie mogliśmy, aż rano zauważono nas z aerobusu i wreszcie zdjęto.

— A ja byłem spokojną dziewczynką. I zawsze bardzo się bałam wszelkich mechanizmów. Wiesz przecież, że do tej pory boję się cyberów.

— Cyberów nie masz się czego bać, Taniusiu. One są łagodne.

— Tak, łagodne... Jak taki złapie za nogę... Sam przyznasz, że te żywe truposze mają w sobie coś niesamowitego. To bardzo nieprzyjemne...

Popow przewrócił się na bok i popatrzył. Tania i Lu siedzieli na sąsiednim dachu, zwiesiwszy nogi. „Rozćwierkali się jak wróble — pomyślał Popow. — A jutro cały dzień będą ziewać”.

— Tatjana — powiedział półgłosem. — Czas już spać.

— Nie chce się jakoś...

— . Ale jednak będziesz musiała!

— A my spacerowaliśmy po brzegu — pochwaliła się Tania. Lu poruszył się zmieszany. — Cudownie jest nad rzeką. Księżyc, ryby pluskają.

Lu zapytał:

— E-e... a gdzie doktor Mboga?

— Doktor Mboga jest przy pracy — odpowiedział Popow.

— A prawda, Lu! — ucieszyła się Tania. — Chodźmy szukać doktora Mbogi!

„Beznadziejna”... — pomyślał Popow i przewrócił się na drugi bok. Na dachu znów zaczęli szeptać. Popow zdecydowanym ruchem podniósł się, zebrał pościel i wrócił do namiotu. W namiocie było bardzo głośno... Fokin spał na cały regulator... „Och, niedojdo ty, niedojdo — pomyślał Popow lokując się wygodnie. — Taka właśnie noc jest jakby stworzona do zalecania się. A ty zapuściłeś wąsy i myślisz, że na tym koniec!...” Owinął się szczelnie w prześcieradło i momentalnie zasnął.

V

Ogłuszający grzmot podrzucił go na posłaniu. W namiocie było ciemno. Du–dut! Du–dut!
— zagrzmiały jeszcze dwa strzały.

— Co za lichy! — wrzasnął w ciemności Fokin. — Kto tu?

Rozległ się krótki, zajęczy pisk i triumfujący okrzyk Fokina:

— A tuś mi! Tutaj, do mnie!

Popow zaplątał się w hamaku i w żaden sposób nie mógł się podnieść. Wtem usłyszał tępe uderzenie, Fokin stęknął głucho i natychmiast coś ciemnego i małego mignęło i przepadło w jasnym trójkacie wyjścia.

Popow rzucił się w ślad za tym czymś. Fokin także skoczył naprzód i obaj z rozpędem zderzyli się głowami. Popow zgrzytnął zębami i wreszcie wybiegł na zewnątrz.

Palmira jasno świeciła. Przeciwległy dach był pusty. Obejrawszy się Popow zobaczył, jak Mboga pędzi ulicą, rozchylając zręcznie trawę, a za nim depcząc mu po piętach biegną Lu i Tatjana, potykając się co chwila.

I jeszcze jedną rzecz zauważył Popow: daleko przed Mbogą ktoś ucieka, nurkując w rozkołysanej zieleni. Biegnie znacznie szybciej niż Mboga. Mboga zatrzymał się, uniósł jedną ręką karabin lufą do góry i wystrzelił jeszcze raz. Dziwny stwór dał w trawie susa w bok i znikł za rogim ostatniego budynku. A po sekundzie w księżycowym blasku uniósł się stamtąd biały ptak, szeroko i miękko wymachując ogromnymi skrzydłami.

— Strzelajcie! — ryknął Fokin i pomknął wzdłuż ulicy, padając co kilka kroków. Mboga stał nieruchomo, opuściwszy karabin i z zadartą do góry głową śledził wzrokiem oddalającego się ptaka. Ptak, lecąc dostojnie bez najmniejszego szmeru, zatoczył koło ponad miastem i zwiększając stopniowo wysokość oddalił się na południe. Po minucie znikł bez śladu. I wtedy Popow zobaczył, jak zupełnie nisko, nad samą bazą przeleciały jeszcze ptaki — trzy, cztery, pięć — pięć ogromnych białych ptaków wbiło się w niebo nad miejscem pracy cyberów i po chwili roztopiło się w błękicie.

Popow zszedł z dachu. Martwe sześciany budynków rzucały na trawę gęste czarne cienie. Trawa mieniła się srebrzyście. Coś zabrzęczało pod nogą. Popow schylił się. Wśród zieleni błysnęła łuska naboju. Popow przekroczył bezceremonialnie pokraczny cień helikoptera.

Dały się słyszeć głosy. Mboga, Fokin, Lu i Tania powoli zbliżali się ku niemu z przeciwnej strony.

— Miałem go w rękach! — mówił Fokin wzburzony. — Ale trzasnął mnie w łeb i wyrwał się. Gdyby mnie wtedy nie stuknął, na pewno bym go nie puścił! Był miękki i ciepły, jak małe dziecko. I nogi...

— My też go prawie mieliśmy w garści — powiedziała Tania — ale zamienił się raptem w ptaka i pofrunął.

— Za kogo mnie masz? — parsknął Fokin. — Zamienił się w ptaka?...

— Rzeczywiście — rzekł Lu. — Skręcił za róg i stamtąd od razu zerwał się ptak.

— No i co? — burknął Fokin. — Tamten wystraszył ptaka, a wy gęby pootwieraliście.

— Zbieg okoliczności — zauważył Mboga.

Popow podszedł do nich i wszyscy się zatrzymali.

— Co tu właściwie zaszło? — zapytał Popow.

— Już go miałem — nie mógł sobie darować Fokin — i nagle jak mnie nie zamaluje!

— To, to już słyszałem — powiedział Popow. — Ale od czego to wszystko się zaczęło?

— Przyczałem się między tobołkami — zaczął Mboga. — Wtem zobaczyłem, że ktoś czołga się w trawie na samym środku ulicy. Chciałem schwytać intruza i wyszedłem mu naprzeciw, lecz zauważył mnie i zawrócił. Zorientowałem się, że go nie doścignę, i strzeliłem. Bardzo mi przykro, Anatolu, ale zdaje mi się, że ich spłoszyłem.

Zapanowała cisza. Potem Fokin zapytał ze zdumieniem:

— A czego wam właściwie szkoda, doktorze Mboga? Mboga długo zwlekał z odpowiedzią. Wszyscy czekali.

— Było ich przynajmniej dwóch — przemówił wreszcie. — Jednego wykryłem ja, a drugi był u nas w namiocie. Ale kiedy przebiegałem koło helikoptera... No cóż — zakończył niespodzianie. — Trzeba pójść i zobaczyć. Z pewnością się mylę.

Mboga ruszył do obozu swym cichym krokiem. Pozostali, wymieniwszy między sobą porozumiewawcze spojrzenia, udali się za nim.

Przy budynku, na którym stał helikopter, Mboga zatrzymał się.

— Gdzieś tutaj — powiedział.

Fokin i Tania bezzwłocznie zanurzyli się w czarnym cieniu pod ścianą. Lu i Popow mierzyli Mboga wyczekującymi spojrzeniami. Mboga jednak milczał.

— Niczego tu nie ma — fuknął gniewnie Fokin.

— Cóż to ja widziałem? Cóż to ja widziałem?... — mamrotał Mboga.

Podekscytowany Fokin wyłonił się spod ściany. Czarny cień śmigła helikoptera przemknął po jego twarzy.

— Eureka! — krzyknął Mboga. — Dziwny cień!

Rzuciwszy karabin, z rozbiegu wskoczył na ścianę.

— Spójrzcie, z łaski swojej! — powiedział z dachu.

Na dachu za kadłubem śmigłowca, jakby na witrynie sklepowej widniały ustawione pedantycznie przedmioty. Tam była właśnie skrzynka z masłem, tobołek z rejestrem „E-9”, para trzewików, kieszonkowy mikroelektrometr w futerale z masy plastycznej, cztery neutronowe akumulatory i wreszcie czarne okulary.

— A oto i trzewiki — ucieszyła się Tania. — I nawet okulary. Przecież wczoraj wpadły do rzeki...

— Więc to taaak... — powiedział przeciągle Fokin i ostrożnie rozejrzał, się.

Popow jakby się ocknął.

— Fizyku Lu! — przemówił gorączkowo. — Muszę natychmiast połączyć się ze „Słonecznikiem”. Fokin, Taniu, sfotografujcie tę wystawę! Za pół godziny wracam.

Zeskoczył z dachu i oddalił się pośpiesznie, biegnąc ulicą ku bazie, Lu w milczeniu pośpieszył za nim.

— Co to ma wszystko znaczyć! — zawołał Fokin. Mboga przykucnął, wyciągnął małą fajeczkę, bez pośpiechu zapalił ją i powiedział:

— To są ludzie, Boria. Kraść rzeczy potrafią i zwierzęta, ale tylko ludzi stać na to, by zwrócić skradzione.

Fokin cofnął się i usiadł na kole śmigłowca.

VI

Popow wrócił sam, poruszony do żywego, i wysokim metalicznym głosem rozkazał związać obóz. Fokin wyrwał się jak Filip z konopi, żądając wyjaśnień. Wtedy Popow tym samym metalicznym głosem zacytował:

— Rozkaz kapitana gwiazdolotu «Słonecznik». W ciągu trzech godzin zwinąć synoptyczną bazę — laboratorium oraz obóz archeologiczny; zdemontować wszystkie cybernetyczne systemy; wszyscy, nie wyłączając atmosferycznego fizyka Lu, mają wrócić na pokład «Słonecznika».

Fokin, zdziwiony wielce, od razu stulił uszy i wziął się do pracy z niezwykłą gorliwością. W ciągu dwóch godzin śmigłowiec zrobił osiem rejsów, a cybertragarze wydeptali od bazy do rakiety szeroką drogę w trawie.

Po bazie pozostały tylko puste zabudowania, wszystkie trzy systemy cybernetyczne robotów–budowniczych zostały zapędzone do pomieszczenia magazynu, gdzie je całkowicie zdeprogramowano.

O szóstej rano według czasu miejscowego, kiedy na wschodzie zapłonęła zielona zorza, zmęczeni ludzie zebrali się wokół rakiety i wtedy właśnie Fokina poniosło na całego.

— No dobrze — zaczął złowieszczym syczącym szeptem. — Ty, Anatolu, wydawałeś nam rozkazy i my je uczciwie wykonywaliśmy. Ale do wszystkich diabłów, muszę się wreszcie dowiedzieć, dlaczego my stąd uciekamy?! — zapał nagle wysokim falsetem, teatralnym gestem uniósłszy ręce. Wszyscy drgnęli, a Mbodge wypadła z zębów fajeczka. — Jakże to tak?! W ciągu trzech wieków szukać swych Rozumnych Braci i tak haniebnie brać nogi za pas, gdy się ich tylko spotkało? Najlepsze umysły ludzkości...

— Utrapienie ty moje — zgasła go Tania.

Fokin zamilkł.

— Nic nie rozumiem — jęknął z rozpaczą.

— Czy ty myślisz, Borysie, że my naprawdę godnie reprezentujemy najlepsze umysły ludzkości? — szydził Mboga.

Popow wymamrotał ponuro:

— Czego my tu nie wyrabialiśmy?! Spaliliśmy całe pole, deptaliśmy zasiewy, urządzaliśmy strzelaninę... A w rejonie bazy!... — machnął ręką z niechęcią.

— Ale któż mógł wiedzieć! — bąknął Lu z poczuciem winy.

— Rzeczywiście — Mboga w zadumie potarł podbródek. — Popełniliśmy wiele błędów. Lecz mam nadzieję, że oni nas zrozumieli. Są wystarczająco cywilizowani, żeby nam wybaczyć,

— Ależ jaka tu cywilizacja! — zawołał Fokin. — Gdzie maszyny? Gdzie narzędzia pracy? Gdzie są wreszcie miasta?

— Milczałbyś lepiej, Borys — rzekł Popow. — Maszyny, miasta... Choć teraz wreszcie przejrzyj na oczy! Czy my umiemy latać na ptakach? Czy są u nas miodonośne monstra, które na dodatek dostarczają mięsa z żywego ciała? Czy dawno został u nas zlikwidowany ostatni komar? A ty mówisz: maszyny...

— Biologiczna cywilizacja — powiedział Mboga.

— Jak? — spytał Fokin.

— Biologiczna cywilizacja. Nie maszynowa, lecz biologiczna. Selekcja, genetyka, tresura. Któż to wie, jakie siły udało im się ujarzmić? I kto powie, czyja cywilizacja stoi wyżej?

— Wyobrażasz sobie, Boria? — wtrąciła Tania, — Tresowane bakterie! I, oczywiście, tego miasta oni nie zbudowali, tylko je wyhodowali... Magazyny... Spichlerze... A my chcieliśmy ciąć ścianę...

Fokin wściekle skubał wąsy.

— A odchodzimy stąd tylko dlatego — oświadczył Popow posepnie — że nikt z nas nie ma prawa wziąć na siebie odpowiedzialności za nawiązanie pierwszego kontaktu.

„Ach, jaka szkoda stąd odchodzić — myślał. — Strasznie mi żal. Nie chcę odchodzić. Pragnę ich odszukać. Pomówić z nimi, obejrzeć, jacy oni są. Przecież to cała ludzkość! Nie jakieś tam jaszczury, pozbawione mózgu, nie jakieś tam ślimaki, ale ludzkość! Cały świat, cała historia... A czy u was były wojny i rewolucje? A co u was było na początku: para czy elektryczność? W czym wy widzicie sens istnienia? A ile jest języków na Leonidzie? A czy można coś od was dostać do czytania? Przed nami pierwszy eksperyment historii porównawczej ludzkości różnych światów... I trzeba odejść z kwitkiem. Ach, jak trudno uznać swą porażkę... Ale na Ziemi już od 50 lat istnieje komisja, przygotowująca nawiązanie kontaktu z innymi Istotami Myślącymi. Pięćdziesiąt lat studiuje się psychologię porównawczą ryb czy mrówek i toczą się zażarte spory, w jakim języku powiedzieć pierwsze — „Ej!” Ale już teraz nikt komisji nie wyśmiewa. Będą musieli z pewnością pracować w pocie czoła. Ciekawe, czy ktoś z nich przewidział biologiczną cywilizację? Chyba tak. Czego oni tam jeszcze nie przewidzieli! Szczęśliwcy”.

Mboga przemówił nagle:

— Jaki to jednak zdumiewająco przenikliwy człowiek — ten Gorbowski. On wyraźnie coś przeczuwał.

— Tak — powiedziała Tania. — Aż strach pomyśleć, co by tu Boria nawyprawiał, gdybyśmy mieli broń!

— Dlaczego właśnie ja! — oburzył się Fokin. — A ty? Kto chodził nad rzekę z elektrycznym nożem?

— Wszyscy jesteśmy dobrzy — westchnął Lu.

Popow spojrział na zegarek:

— Start za dwadzieścia minut. Proszę na miejsca.

Mboga zatrzymał się w kesonie i obejrzał się. Biała gwiazda EN-23 weszła już nad zielonymi równinami Leonidy. Pachniało wilgotną trawą, ciepłą ziemią i świeżym miodem. Nad dalekimi wzgórzami zawisły nieruchomo białe, rozwichrzone obłoki.

— Tak — przemówił Mboga. — Ta planeta to cudowny twór. Czy przyroda byłaby w stanie taką stworzyć?

Przetłóżył Eligiusz Madejski